

Piotr Zaccone

# Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

2 — Czy było w zwyczaju pana Lorain pozostawiać je otwarte dzień cały?

— W dzień niekiedy, ale nigdy w nocy.

— Niech pan to zapisze — zwrócił się prokurator do pisarza.

Wstąpiono w ogrodzenie. Kapitan żandarmeryi prowadził konia swojego za uzdę. Pan Dupont obejrzał ziemię dokładnie, ale ziemia, rozmiękła od deszczów, zachowała tylko świeże ślady stóp bydlę i owiec. Beczka leżała na tym samym miejscu, na którym pozostawił ją pasterz rano. Na schodach kamiennych, prowadzących do domu, nie dostrzeżono żadnych śladów, ani znaków szczególnych.

— Zanim wejdziemy do domu — odezwał się prokurator — obejrzymy zabudowanie. Chodź z nami, Courtin, poinformujesz nas, jeżeli zauważysz jakąś zmianę, czy świeży nieporządek.

Przetrzęsnięto więc stodoły, śpichlerz, stajnie i kurniki. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Zapasy nie zostały w niczym naruszone, nie dostrzeżono żadnego śladu złodziejstwa. Potem nastąpił przegląd ostatniej stajni, gdzie leżały kości pożartych przez wilki zwierząt. Obecny lekarz długą chwilę badał porozrzucane kości szkieletów.

— Śmierć tych zwierząt nastąpić musiała już przed miesiącem — wyrzekł wkońcu.

— Objaśnienie to jest bardzo ważne — odparł prokurator z zajęciem — ale jak wytłumaczyć sobie te znaki, wyrły od wewnętrznej strony drzwi. Czyście je panowie zauważyli?

— Zapewne biedne zwierzęta, pozostawione bez pożywienia, usiłowały się tędy wydostać na wolność — objaśnił kapitan żandarmeryi.

— Nie widzę psów podwórzowych, ani drobiu — zauważył pasterz, podchodząc. — Kurniki są puste!

— Musiało się to rozbiez po lasach — odparł kapitan. — O ile zaszło morderstwo w tym domu, sądzę, że nastąpić musiało w ciągu dnia, kiedy kurniki otwarte jeszcze były.

— Ma pan słuszność — odpowiedział pan Dupont. — A teraz chodźmy do domu, może tam odkryjemy, o co nam chodzi.

— Ale drzwi są od wewnątrz zamknięte — zauważył Marcin Courtin.

— Wiem o tem. Ale ponieważ nie mamy tutaj ślusarza, któryby nam te drzwi otworzył, ty Courtin, wyjdiesz raz jeszcze na beczkę, wybijesz szybę u okna i otworzysz je z łatwością.

Pasterz poszedł naprzód, drząc całem ciałem, ale nagle zatrzymał się i zawołał zmienionym głosem:

— Niech mi pan wybaczy, panie prokuratorze, ale nie ośmielę się nigdy spojrzeć po raz drugi do środka. Widok tam jest straszny. Niech się pan sam przekona!

Pan Dupont przy pomocy pasterza wspiął się na beczkę i skierował wzrok swój do wnętrza mieszkania.

— To rzeczywiście straszny widok — szepnął, wstrząsając się ze wstrętem i z trudem chwytając powietrze.

— Do wszystkich dyabłów! — zaklął głośno, jak gdyby chciał tem wyrazić zdumienie swoje i przestraszyć.

— Idę pierwszy, panowie, a wy, proszę, idźcie za mną — rzekł prokurator, wchodząc do mieszkania w towarzystwie doktora.

Okrzyk grozy wybiegł ze wszystkich piersi. Trzy osoby, sztywne, nieruchome, siedziały przed stołem zastawionym. Piotr Lorain, wsparty o ścianę, z głową wyprostowaną, wspartą o róg kominka, zdawał się patrzeć na obecnych ciemnymi otworami nieistniejących już oczów. Pani Lorain siedziała przy mężu, z głową zwieszoną na jego ramieniu. Koronka, zakrywająca jej włosy, zsunęła się, aż do połowy twarzy, odsłaniając tylko usta, sinej, trupiej bledości. Dziecko zaś, znajdujące się naprzeciwko matki, leżało nawpół z rękami i głową opuszczonymi na stole.

— Wygląda to na zatrucie — szepnął pan Dupont do lekarza. — Nie wiemy tylko, czy mamy do czynienia z dobrowolnym wypadkiem, czy zbrodnią.

— Brak klucza w zamku przemawia za dobrowolnym wypadkiem — odparł doktor.

Uwaga lekarza była słuszna. Jeżeli Piotr Lorain dla niewiadomych powodów chciał popełnić samobójstwo wraz z całą rodziną, to on sam musiał drzwi na klucz zamknąć, a następnie klucz wyjąć. Ale gdzie ten klucz mógł się znajdować?

Prokurator stał zamyślony nad zwłokami, zastanawiając się nad tym problemem, kiedy kapitan podszedł do niego i dotknął jego ramienia.

— Co takiego? — zapytał zdziwiony pan Dupont.

— Niech pan patrzy — odpowiedział kapitan. I ruchem ręki wskazywał podłogę pokoju.

Prokurator pochylił się nisko. Na posadzce, lekko sprószzonej, widniały wyraźne znaki stóp. Wilgoć, wydobywająca się z zamkniętego przez dłuższy czas domu, zakonserwowała doskonale te znaki, z pośród których wyróżniał się dokładnie odcisk małej stopy, o podeszwie bez gwoździ, wąskiej, i drobnych obcasach, widocznie wysokich, bo pomiędzy podbiciem a nimi pozostała przestrzeń, zupełnie wolna od znaków. Stopy te nie były jednak stopami dziecka.

— Jest to ślad — rzekł kapitan — wykazujący, że w chwili śmierci rodziny Lorain, znajdowała się w pokoju osoba czwarta, obca. Kształt obuwnia tłumaczy to dostatecznie. Niech pan prokurator zauważy, jaka różnica istnieje między odciskiem tej stopy, a stopami gospodarzy. Obuwie tych ostatnich jest płaskie, szerokie, nabite gwoździami.

— Rzeczywiście — szepnął zainteresowany prokurator. — Trzeba ślad ten dokładnie przenieść na papier.

— Zajmę się tem — odparł kapitan. — Oh, proszę! Stąd ciągnie się aż do drzwi.

— I co pan wnosi z tego? — zapytał pan Dupont.

— Zaraz panu odpowiem! Doktorze, proszę tu na chwilę!

Kiedy lekarz pospieszył na to wezwanie, kapitan wskazał mu dzbanek z piwem i cztery szklanki, znajdujące się na stole. Jedna ze szklanek była prawie nienaruszona.

— Warto by się przekonać rzeczywiście, co to za płyn — rzekł doktor, który zrozumiał natychmiast zamiar kapitana.

Umacał palec w płynie, z którego jedną kroplę opuścił na język.

— Szczególny smak — rzekł po chwili. — Piwo, najbardziej zwierzęce, nie może mieć podobnego smaku.

Poczem ujął niewypróbną szklankę i czas jakiś ogrzewał ją w rękach, wachając płyn w niej zawarty.

— Ależ to odkrycie! — zawołał wkońcu. — To „stramonium datura“, roślina narkotyczna i trująca, zależnie od wielkości dozy pochłoniętej! Czy zachodziło tu otrucie natychmiastowe, lub też zwykłe uspienie, po którym nastąpiło odrętwienie i niemoc zupełna? Pytanie było jeszcze trudne do rozwiązania. Jednakże obecność osoby obcej w mieszkaniu nie ulegała żadnej wątpliwości. Wskazywały to ślady, odkryte na podłodze i czwarta szklanka, znajdująca się na stole. Doład fakt jeden się wylonił. Nie było to rozmyślane samobójstwo rodziny całej, lecz morderstwo... Nieznajomy jakiś musiał wejść do mieszkania, w chwili, kiedy rodzina Lorain zasiadała do stołu i gość ten w zręczny sposób wlał truciznę do dzbanka z piwem. Trzy szklanki próżne wskazywały, że Lorain wraz z żoną i dzieckiem użyli płynu.

Lekarz, wypowiadając głośno powyższe myśli, zajął się badaniem zwłok. Wspomniałszy już, że córka Piotra Lorain leżała wsparta ramionami i głową o stół. W tej pozycji szyja dziecka odsłonięta była zupełnie. Silne drżenie przebiegło lekarza, kiedy w pewnej chwili pochylił się nad głową dziecka. Na samym szczycie karku, pod włosami, w pośrodku obrzmienia, uwidaczniał się punkt czarny, jak gdyby kropla skrzepłej krwi.

— Co to może być? — szepnął doktor z zainteresowaniem.

Końcem paznogcia strzepnął skrzep czarny, z pod którego wystąpiło nieduże, trójkątne znamię.

— Ho, ho! — dodał — To coś ciekawego! Jak widzę, zbrodnia komplikuje się!

Poczem zwrócił się do policyjanta:

— Podtrzymajcie te dwa ciała — rzekł, wskazując Piotra Lorain i jego żonę.

Policyjant, przy pomocy żandarma, spieszenie wykonał rozkaz, podczas kiedy doktor, wycią-

gnawszy z pudełka cienki lancet, zagłębił go w ramię.

Niepokój wszystkich wzrastał z każdą chwilą. Prokurator zaś gorączkowo śledził każdy ruch doktora, który po chwili przystąpił do zwłok Piotra Lorain i jego żony, na których odkrył te same trójkątne znaki, czerniejące na szyi.

— Co to ma znaczyć? — zapytał wkońcu prokurator, drżąc z zniecierpliwienia. — Co to jest?

— Teraz zdaję sobie już jasno sprawę z sytuacji — odparł doktor. — Rodzina Lorain nie została otruta, lecz poprostu uśpiona zapomocą narkotyku, o którym już wspominałem. Kiedy zaś stan ich doszedł do zupełnej nieświadomości, zostali zamordowani cienkim sztyletem, nadzwyczajnie ostrym, o ostrzu, zakończonem trójkątnie. Człowiek, który zadał tą ranę, był pewny swej ręki i zręczności. Śmierć była natychmiastowa i nie wywołała żadnego wypływu krwi na zewnątrz, oprócz tej jednej kropli, zakrzepłej na ranach. Przypuszczać można, że morderca po dokonaniu zbrodni zamknął, wychodząc, drzwi na klucz i klucz ten porzucił gdzieś po drodze.

— Jak dawno zbrodnia ta popełniona być mogła? — zapytał prokurator.

— Mniej więcej miesiąc temu. Brak lampy na stole wykazuje, że stało się to w dzień.

— Dziwne, dziwne! — wymówił prokurator, zamyślając się głęboko. — Ale jakże mógł być powód do tak okropnej zbrodni?

— Może rabunek, albo...

— Co takiego? Co pan przypuszcza?

— Może powodem czynu była zemsta jakaś szatańska!

Prokurator skinął na pasterza, stojącego przy drzwiach.

— Czy Piotr Lorain miał nieprzyjaciół? Jak ci się zdaje, mój przyjacielu?

— O, nie! — odpowiedział Marcin Courtin. — Pan Lorain był człowiekiem sprawiedliwym i dobrym dla służby i biednych ludzi!

— Ach, prawda! — przypomniał sobie prokurator. — Mówiłeś, że oprócz ciebie była tu jeszcze służąca i parobek do koni.

— Tak, panie prokuratorze.

— Gdzież oni być mogą? Czyżby i z nimi stało się jakie nieszczęście?

W tej chwili kapitan, który udał się do kuchni, wybiegł z niej pomieszany, wołając zmienionym głosem:

— Ależ to przechodzi wszelkie pojęcie! Zobaczcie panowie! Ci biedacy tam w kuchni również zamordowani zostali!

Prokurator i lekarz wpadli do kuchni i ujrzeni tam ten sam widok, który uderzył ich w pierwszym pokoju, z tą różnicą tylko, że służąca, na którą widocznie narkotyk podziałał mniej silnie, miała jeszcze na tyle siły, aby powstać, lecz, podążając ku drzwiom, upadła, raniąc się ciężko w głowę.

— To doprawdy coś niewytłumaczonego — szepnął prokurator. — Człowiek, który popełnił te zbrodnie wszystkie, musiał być kierowanym celem jakimś niezwykle ważnym dla siebie. Musimy raz jeszcze dokładnie obejrzyć zwłoki, aby się przekonać, czy celem tym nie była kradzież, a potem dalsze przypuszczenia stawiać będziemy mogli.

Ta przykra czynność została wykonana przez żandarmów. Znalezione przy Piotrze Lorain, duży woreczek skórzany, zawierający pięćdziesiąt kilka franków, a w kieszeni kamizelki zegarek złoty. Zona jego również posiadała kilkanaście franków przy sobie, a oprócz tego złote pierścienki i kolczyki, nienaruszone wcale.

Motyw grabieży musiał więc być wykluczony ze sprawy. Prokurator jednak upierał się dalej, ale, kiedy chciał wejść do drugiego pokoju, przylegającego do salki jadalnej, lekarz powstrzymał go za rękę.

— Cóż tam jeszcze? — zachnął się niecierpliwie pan Dupont.

— Zdaje mi się, że uczynimy lepiej, zwracając nasze poszukiwania w tamtą stronę.

— Dlaczego?

— Bo ślady stóp zatrzymują się przy stole, a przestrzeń, oddzielająca ten pokój od tamtego, nie nosi na sobie żadnych znaków podobnych.

— Ma pan słuszność — potwierdził prokurator. — Ale kto wie, czy morderca nie przedsięwziął jakich środków ostrożności? Obowiązkiem naszym jest nie zaniedbywać niczego i odkryć prawdę. Chodźmy tam, chodźmy! Nie mamy nic do stracenia!

Mówiąc to, pan Dupont wszedł do przyległego pokoju, kapitan, pisarz i Marcin Courtin postę-